

# ILUSTROWANY TYGODNIK POLSKI

PISMO POŚWIĘCONE LITERATURZE, SZTUCE I SPRAWOM BIEŻĄCYM.

R. I.

KRAKÓW 19 GRUDNIA 1915

NR. 21.

*Z ALBUMU LEGIONÓW.*



*Wywiad.*

*Fot. z natury.*



## DO LEGIONÓW PATROLĄ OD ŻOŁNIERZY - POLAKÓW.

Z patrolą do was poszedł, bracia,  
żołnierzyk, z naszych jeden, On,  
w którym się tłum nas upostacia:  
On — serca głos i duszy ton.

W noc, w śnieg, w zadymkę wszedł grudniową,  
by ku wam poprzez pola iść...  
ma wam, oddawszy hasło-słowo,  
opłatka biały wręczyć liść.

A gdy już między wami stanie  
i raport z swej patroli zda,  
wiedźcie, że jedno miłowanie  
jest w sercu naszym, tam u dna.

I choć opłatek przelamany  
nie miodem błysnie, ale krwią...  
niech zapomniane będą rany,  
a Bóg powitan z dawną czią.

A czas i przestrzeń znikną wszędy  
i przez okopy wszereż i wzdłuż,  
wybuchnie nowej pieśń kolendy:  
Polska się wolna staje już!

Na pozycyi, grudzień, 1915 r.

Tadeusz Szantroch.

## WITOLD ĆWIKOWSKI: DRUŻYNIACY.

Oddział zatrzymał się przed leśniczówką. Żołnierze weszli do środka, by się cośkolwiek ogrzać i rozłóżywszy się dokoła pieca, w którym huczał ogień, prowadzili półgłosem rozmowy, odgrzewając i gotując konserwy. Oficer usiadł przy stole i przy świetle małej lojówki studyował zawzięcie mapę, marszcząc czoło i klnąc po rosyjsku pod nosem. Wkońcu podniósł się od stołu, mapę schował do kieszeni, płonąca lojówka palnęła w łeb któregoś z żołnierzy i rzucił krótko:

— No, czas nam w drogę! Kończyć tam jedzenie i papierosy!

W parę minut później piał się oddział na wysoką, porośłą lasem Mirutnicę, wznoszącą się na lewo od drogi. Ciemność zupełna ogarnęła żołnierzy; nie widząc się wzajemnie, uderzali głowami o drzewa, potykali się o leżące kłody, spruchniałe pnie — i pięli się, kierując jedynie odgłosem kroków poprzednika. Zwisające gałęzie smagały twarz, biły po rękach, zrywały czapki — to znowu, gdyby jakieś potworne macki chwytwały za karabin, pragnąc go z ręki wyrwać i unieść w ciemności. Żołnierze klęli, ale nie tracili humoru.

Łatwiej było Kolumbowi odkryć Amerykę, niż nam teraz znaleźć drogę... — mruknął Lubicz, podnosząc się z ziemi, na której przed chwilą, wbrew swej woli, usiadł.

— Ciekawym, gdzie my tak zajdziemy?...

— Tam, gdzie człowiek chodzi bez nóg, a myśli bez

mózgu! — zażartował Grodecki, asystent uniwersytetu krakowskiego.

— Kolego Lubicz, a jak tam z waszym brzuszkiem — odezwał się Dick (prawnik krakowski), robiąc aluzję do jego okrągłej postaci.

— Pusto, niestety — tak, jak w waszej mózgowicy — odparł tenże z ubolewaniem.

— Hm, to możebyśmy go tak czemś wypchali i puścili w powietrze, jako obserwatora — pokazałby nam drogę!

— No, ale jakby miał takich pasażerów, jak wy — toby się rozpekł z nadmiaru przepelniających go gazów.

— Ot, dalibyście spokój, bo wkraczacie już w dziedzinę absurdów! — mitygował Lemański. Kolego W. — zwrócił się następnie do oficera — człowiek nosa swego nie widzi! Możebyśmy schwycili się wszyscy za płaszcze, ...przynajmniej nie pogubimy się.

— A, dobry pomysł... podać dalej! — odrzekł oficer. Oddział rozpadł się teraz w pojedynczy szereg, połączony i związany ogonami płaszców. Żołnierze, brnąc w ciemnościach, pięli się z trudem pośród złomów, wykrotów i zwalonych drzew — z drogi nie było już ani śladu! W tym pochodzie była tylko ta niedogodność, że upadek jednego powodował również upadek kilku innych, znajdujących się w pobliżu niego: żołnierz, który upadł — nie chcąc zagubić swego poprzednika, nie puszczał poły jego płaszcza, skutkiem czego pocią-

gał go za sobą... — I tak kilku ludzi zjeżdżało naraz z góry po oślizgłej ziemi, zatrzymując się dopiero na jakimś leżącym pniu lub drzewie.

Mimo wszystko humor ich jednak nie opuszczał. Słowa rzekomego współczucia i ubolewania dolatywały zewsząd z kołyszącego się szeregu.

— Nie klnijcie, szkoda gęby... to wszystko nic wobec wieczności! — filozofował Dick, pocieszając Lubicza, którego umyślnie ściągał za sobą.

— At, cobyście sobie z tego robili!... Pan Jezus więcej przecierpiał — przemawiał kaznodziejskim tonem Grodecki do jednego z żołnierzy, który zarył nosem w ziemię...

*...Był sobie król przed laty,  
Co miał ogromną pchłę...*

podśpiewywał sobie pod nosem ktoś w tyle.

Powoli jednak ciche rozmowy milkły — wesołość zaczęła się ulatniać z szeregu. Zmęczenie zaczęło ogarniać żołnierzy, znużonych kilkugodzinnym wspinaniem się w górę poprzez wykroty leśne i zwalone drzewa. Tu i ówdzie dawały się już słyszeć chrapliwe dyszenia — jakiś żołnierz zwałił się na ziemię...

— Zostawcie mnie — nie mogę już iść dalej!

Ujęło go dwóch żołnierzy i pociągnęło ze sobą.

Ludzie pięli się nieprzerwanie w górę. — Do mózgu napływały gorące fale... w uszach brzmiały jakieś echa podzwonne — i cisza przerywana jeno chrapliwymi oddechami. Ciemna, mroźna noc zawisła ponad drzewami.

— Kolego Pretwicz! — dał się słyszeć nagle głos oficera. Cisza była mu odpowiedzią.

— Kolego Lemański! — powtórzył głośnie.

I tym razem nie było odpowiedzi. Oficer stanął, zatrzymał swój oddział i zwrócił się do żołnierzy:

— Poszukać Lemańskiego! Zdaje się, że padł gdzieś w drodze.

Żołnierze schwycili się za ręce i zaczęli schodzić z powrotem stokiem góry...

Niedługo szukali! Kilkanaście kroków poniżej spoczywała pod drzewem czarna postać, rozciągnięta bez ruchu — opodal leżał na ziemi karabin. Oficer zbliżył się, natarł mu zimną wodą skronie i wlał parę kropel rumu ze swojej manierki do rozchylnych ust.

— No jakże wam... lepiej? — Co to wam się stało?

— At, nic... zamroczyło mnie trochę — odparł po dłuższej chwili Lemański, podnosząc się z ziemi. — Możemy iść dalej!

— Który tam najmniej zmęczony, niech weźmie plecak kolegi Pretwicza! — rozkazał oficer. Wyciągnęło się parę rąk...

I poszli dalej. Drzewa stawały się coraz rzadsze, teren równiejszy — znak, że szczyt był już niedaleko. — Nadzieja rychłego odpoczynku ożywiła żołnierzy! Dobywając ostatnich sił, szli przyspieszonym krokiem.

Naraz gdzieś w czole szeregu rozbrzmiał przeraźliwy, noraący okrzyk:

— Aaa... Jessus Marya! — Jakaś postać oderwała się od szeregu, jęknęła głucho i runęła stokiem góry głową wprzód.

W okamgnieniu przypadł oficer do leżącego:

Kto to... — co mu jest? — Zaświecił zapalkę, rozświetlił nią twarz leżącego... Cichy jęk wyrwał mu się z piersi!...

Przed nim, w mdłym świetle zapalki, zamajaczyła błąda twarz Lubicza. Z lewego oka spływała po policzku purpurowa struga i spadała z szelestem na ziemię kroplami krwawych łez...

Twarz ściągniętą miał kurczem wściekłego bólu!

Chryste Panie... Co wam się stało...? — zawołał ze zgrozą oficer.

— ...Gałąź ...ostra — samo oko... aaa... — wycharczał zdławionym przerywanym głosem.

— I co tu z nim teraz zrobić?! — szepnął zamyślony oficer. Głowacz!

Z szeregu wysunął się sanitaryusz plutonu; zbliżył się do leżącego, wyjął z plecaka gazę i zrobił mu opatrunek. Oficer stał, spoglądając w zamyśleniu na nieszczęśliwego Lubicza; naraz podniósł głowę i zwrócił się do otaczających:

— Panowie, który z was ofiaruje się na ochotnika doprowadzić kolegę Lubicza tą samą drogą, którąśmy przeszli aż do leśniczówki? Dodaje, że gdy nikt się nie zgłosi — sam będę musiał przeznaczyć!

— Komendancie, z drogi ani śladu... nikt nie trafi — dało się słyszeć parę głosów.

— No to cóż z tego? Przecież go tutaj nie zostawimy!... A brać ze sobą nie możemy, bo... czeka nas jeszcze ciężkie zadanie — dodał półgłosem.

Wystąpił pierwszy Lemański — za nim Dick i Grodecki.

— Spodziewałem się tego po was — rzucił krótko oficer. — No, ale trzech, to za dużo! Kolego Dick, pójdziecie wy! A pamiętajcie — strzeżcie się, abyście nie wpadli! No, niech was Bóg prowadzi!

Zniknęli obaj w czarnej, głuchej nocy.

W parę minut później pluton dotarł do szczytu — wyczerpani żołnierze runęli jak kłody na ziemię. Mróz chwycił żelaznymi kleszczami, ale oni na to nie zważali; — wyciągnęli znużone członki na przemarzłej, okrytej płatami śniegu ziemi i leżeli bez ruchu, dysząc ciężko świszczącymi oddechami. Polana była podobna do pobojowiska, pokrytego dziesiątkami martwych, znieruchomionych ciał.

Oficer — nie zważając na zmęczenie — z chmurą na czole chodził wzdłuż leżącego szeregu. Nie miał pojęcia, gdzie się znajduje, a nie mógł przecież na oślep prowadzić plutonu i narażać na wybiecie! Odpowiedzialność za tyłu ludzi spadła mu ciężarem na serce... Przy stanął pod drzewem i przy świetle małej lojówki starał się coś odcyfrować ze szczegółowej mapy. — Przy stał do niego podoficer Lemański.

— Kolego W., nie możemy stanowczo iść dalej — ludzie popadają w drogę!

Oficer oderwał oczy od mapy i spojrzał chmurnymi oczyma:

— No i co zrobić?! rzucił stłumionym głosem. — A tutaj leżąc bez ruchu, przemarznię na kość... o ognisku niema co nawet marzyć! Psiakrew, a wszystkiemu winna ta fałszywa bazgranina! — dodał, mniąc z wściekłością mapę w rękę.

Spuścił głowę i zamyślił się.

— At, wszystko jedno! — mruknął nagle z determinacją — muszę przecież ratować ludzi. — Tu zwrócił się do Lemańskiego:

— Wy pójdziecie i rozstawicie naokół polany wedety na stokach w odległości kilkudziesięciu kroków — zmiana co trzy kwadrans!

Przybliżył się następnie do leżących:

— Panowie, wstawać — trzeba będzie rozpaścić parę ognisk... inaczej pomarzniemy!

W kilkanaście minut potem płonęło na polanie pięć olbrzymich ognisk, dokoła których rozłożyli się żołnierze, ogrzewając z rozkoszą przemarzłe członki. Oficer



Obóz w lasach

Fot. T. Langier.

siedział przy jednym z nich i spoglądał zadumanymi oczyma w ogień.

— Kolego W., — odezwał się siedzący przy nim Grodecki — czemuście kazali rozpalić jak największe...?

— Mały ogień tak samo jak i wielki widać z dołu — a gdy go już spostrzegą, niech przynajmniej myślą, że rozłożyła się tutaj znaczna siła, która się ich nie obawia! Zresztą... widzicie — lepiej zginąć od kuli, niż od mrozu — dodał półgłosem.

I cisza ogarniała z wolna polanę.

Krwawe odbłaski płonących ogni odbijały się purpurą w płatach śniegu — oświetlały czerwienią blade, zmęczone twarze śpiących dookoła... i cisza, przerywana tylko trzaskiem płonących głów. Rozpalony popiół przysypywał im nogi, głowy — drobne iskry padały na ich płaszcze i mundury, wypalając głębokie dziury...

Oni tego nawet nie czuli! Spali, dzierżąc karabiny w dłoni z ciałami przytulonemi jak najbliżej ogniska — spali, wiedząc dobrze o tem, że mogą się już więcej nie obudzić.

Minęło tak parę godzin.

Naraz, gdzieś na wschodnim stoku, poniżej polany, zagrzmiął wystrzał! Zahuczał ponad polaną, odbił się kilkakrotnym echem w górach i umilkł, zrywając wszystkich na nogi. Bezpośrednio po nim rozległy się dalsze strzały i parę kul załopotalo pomiędzy drzewami.

Oficer skoczył od ogniska — wypadł przed uszyko-

wany już front żołnierzy i krzyknął wskazując kierunek strzałów:

Tyraliera na tym brzegu polany — dwa zastępy obsadzą brzeg, pozostałe dwa zajmą się zgaszeniem ognisk i zabezpieczą nam tyły! Marsz!

Z pośród gęstej ciemności wyłonił się nagle zadyuszany żołnierz z wedety:

— Komendancie, od wschodu pnie się jakaś tyraliera w górę! Wedeta na tem samym miejscu.

— Dobrze! Jeden z was zejdzie niżej i przekonaj się, co to za tyraliera — a trzymać się na stanowisku, dopóki was bagnety nie spędzą!

— Kolego Pretwicz — zwrócił się do Lemańskiego — zgęściec wedety i cofnicie je cokolwiek w tył! Zdaje się, że to jakaś silna patrol kozacka.

Tymczasem ogniska dogasały z wolna, wydzielając olbrzymie kłęby dymu. Z szalonym pośpiechem znosili żołnierze na rozpostartych płaszcach całe góry śniegu i zasypywali nim płonące główne. W parę minut później głęboka ciemność zaległa polanę.

— Terazemy trochę bezpieczniejsi — mruknął oficer — mogliby nas wystrzelać jak kaczki!

Żołnierze leżeli na brzegu polany z karabinem gotowym do strzału, z oczyma wlepionymi w dół — leżeli w zupełnym milczeniu, nasłuchując z uwagą odgłosów płynących z dołu...

Naraz z miejsca, gdzie stała wedeta gruchnęły po-

wtórnie strzały — z dołu odpowiedziały im kilkakrotne straszliwe salwy!...

Ciemny bór, pogrążony w uśpieniu — rozgwarzył się nagle szelestem ciętych gałęzi — rozpalił piorunami, rozchichotał pluskiem kul, bijących w pnie. — Pomiedzy drzewami zabłysły nagle roje czerwonych ogników... krwawe smugi zajaśniały ognistymi węzami na stokach góry. — Deszcz poćcinanych gałęzek i liści sypał się na głowy leżących...

Żołnierze z palcami na kurkach oczekiwali decydującej chwili. Czekali z zapartym oddechem...

Strzały powoli ucichały — z dołu natomiast zaczął dolatywać coraz wyraźniej odgłos wspinających się ludzi.

Znowu zagrzmiało parę wystrzałów z miejsca, gdzie stała wedeta — urywanych, gorączkowych... i umilkło!

— Zetknęli się już z wedetą; mruknął oficer — ciekawym, czy uszli! Macie strzelać paczkami w czerwone ogniki — innego celu nie będziecie mieli!

Wtem zatętniły szybkie kroki — jakiś żołnierz wybiegł na szczyt i padł obok leżących.

— A tam co?

— To ja... komendancie — z wedety!

— Spędzili was...?

— Spędzili!

— A drugi... gdzie?

— Został!...

Naraz na zachodnim stoku góry huknął strzał! Jakby zarażone nim zawtórowały mu naokół wszystkie wedety. Oficer zerwał się na równe nogi:

— A psiakrew... zdaje się, żeśmy otoczeni!

Wedety prały nieprzerwanie...

— Pretwicz! Ściągnijcie natychmiast wszystkie wedety... niech gnają na złamanie karku, byle nie było zapóźno!

Podoficer zerwał się z ziemi i pognał stokiem góry.

Oficer stał w miejscu i długą chwilę nasłuchiwał:

Strzały stopniowo milkły... W miejsce ich rozległ się tentent pędzących żołnierzy.

Linia spoczywała nieruchomo; żołnierze dyszeli napięciem nerwowym... I tylko garście zacisnęły się silniej około nasady karabinu.

— Macie tu manierkę — podać dalej, żeby wszystkich obesła!

Tentent przybliżał się coraz więcej... Parę postaci przypadło do linii:

— Komendancie, uciekać — wałą za nami!...

— Stać — ile wedet?

— Trzy!

— Ludzi...?

— Siedmiu... dwóch padło!

W pełnym pędzie przygnało paru nowych.

— Ilu was...?

— Pięciu, komendancie...

— A szósty?

— Został!...

Tupot dziesiątek nóg dawał się słyszeć już z odległości parudziesięciu metrów...

— Bagnet na broń!

Rozległ się cichy dźwięk stali.

Oficer skoczył przed front — szarpnięta w wściekłości szabla wyleciała z przeraźliwym świstem...

— Panowie... innej drogi niema! Pamiętajcie, żeście... strzelcami!! Naprzód!

Oddział zerwał się — chwilę zakolysał się u szczytu... i bez żadnego okrzyku runął nagle jak milcząca burza w dół. — Łomot słaczących się nakształt huraganu leciał piorunem po stoku...

I bór cały zatrzęsł się! Nieludzkie jęki, charczenia... prujący zgrzyt bagnetów, bluzg rozdzieranych trzewi... wstrętne, przytłoczony trzask druzgotanych czaszek...

Wierzchołki drzew, przyprószone srebrem porannego brzasku potrząsały smutno koronami...

...A co dalej... co dalej...? Co z tymi, co zostaną...?

A we dwa dni później, przy blaskach zachodu, powracał pluton z patroli do Jaremcza. Skurczył się, zmałał — ale powracał! Na czele kroczył oficer; od czasu do czasu odwracał głowę, ogarniał wzrokiem poszarpany oddział i zatrzymywał smutne spojrzenie na pierwszych dwóch dwójkach:

...To już nie ci, co... Dziwnie to smutne... życie ludzkie płynie tylko... godzinami!

W pierwszym szeregu kroczył Dick — on jeden tylko nie stracił fantazyi! Podniósł głowę do góry, zagadał parę razy jak kura i zaintonował następnie swój zwykły psalm:

— A możebyśmy sobie co zaśpiewa-ali!

I jak zwykle, odpowiedział mu chór głosów — na nutę „Amen“ — taki sam, tylko cokolwiek słabszy:

— I owszem!

I zaraz popłynęła z jego ust skoczna piosnka:

— Wylaż Mańka tam z pod chrustu, tam z pod chrustu, tam z pod chrustu...

## ADAM ZNAMIROWSKI: BALLADA PODWAWELSKA.

To, że tak pysznie, nieśmiertelnie przemknęli poprzez ulice, zachwytem wniebowzięte, ulice, których domy zwyczajnie już teraz, już tylko osowiała pustkę sączące wraz z deszczu kroplami — och wtedy zdawały się ponosić gdzieś w bezmiar, łomotały ścianami, jak skrzydłami — i to, że razem z pieśnią ekstazyką zapadali o ciemnym wieczorze w Aleję Trzeciego Maja, niby w nicość opiekuńczą, to już sen teraz tylko, jako życie, jako ból jego i śmiech. To ich pierwsze ukazanie się, podobne do jakiejś burzy marmurowej, piorunami zaświatów porytej, gdzie ono teraz, gdy taki smutek goryczny zlewa się z latarń niepewnych na tępe kałuże uliczne, gdy szereg marnych zdarzeń, nito konwoje gdzieś z bagnisk wyrojonych płazów, rozpelza się po błotnych chodnikach, po obszarach znużenia i próżni?

Gdy tak mknęli straszliwi, w spiżowym jakimś rozhukaniu, zdały się na nich zarzucać blachy pancerne, że się przestrzeń dusiła w dzikim szczęściu, popod gwałtem tych zbroic niewidzialnych, nieprzeparanych.

A one, jakby rosły, jakby rozprzestrzeniały się na przestwór, na domy naokolne, na łąki dalekie, na wszechświat.

I było, jakby i tłum ten, dokoła rozsypany, zakuwał się w zdrtwiałą nieruchomość spiżu, jakby i w jego żyły metal się wlewał tajemny, posąg zeń czyniąc tyśiącgłowy.

Pamiętają ogłuchłe teraz okna domów biały huragan oblicz, którym tu kiedyś zakipiała przestrzeń, och zakipiała, niby alarmem akordów, prawiących o śnie przeraźliwym, o śnie mocarnym prawiących.

Jakaż to bezbrzeż ich poczęła, wyłkanych — zda się — z jakiejś zagadki niepojętej, w zagadkę niewiadomą zdążających?

Tędy szli, gdzie się teraz szare pasmo dni bezbarwnych przedzie, gdzie szarzy ludzie się płaczą, niby wyblakłych malowideł wpółzatarłe obrysy. Majaki zbytne, w matni spraw bez znaczenia.

Sens nieobjęty zamknął się raz na zawsze w piorunach tamtego pochodu, w głuchej zadumie oblicz, co trwają tutaj wciąż — na tłach powietrznej pustki, nito na granitach wieczystych odcisnięte.

Gdy noc światłami latarń się rozelka, zagnała jawią się niespodziewanie: maskiz to pośmiertne, bielą okrutnej zjawy miazdzące tępy mrok?

Nocy żalosa, deszczem biczowana, upstrzona ja-skrawymi migotami szyldów — czy pamiętasz?

Woń tamtej chwili martwo snuje się w załomach ulic — a woneczas, woneczas?

Jakoby burza letnia tysiącem klombów kwietnianych zakotłowała, zapieniła się napośród murów, śmiertelnym zdławionych zachwytem.

Prastare dzieje, zaśnieżyte w ich szczybach żalonych, ożywiły się nagle, zmartwychwstały. Pieśnią zakrzykły, nieogarnioną, huczną pieśnią wieków.

A idącym do stóp upadały, z szklannym jękiem roztrzaskiwały się akordy Szopena, te ostatnie, wszechmocne, wróżebne.

## RAJMUND BERGEL: POEZYJE.

14/IX 1915.

### MOŁOTKÓW (W ROCZNICE).

Wieś się pali... słychać w dali  
Poszczęk broni, tętent podków,  
Dzika wrzawa — walka krwawa,  
Bój się toczy o Mołotków.

Hurra! hurra! szal, brawura...  
— Rozwiń skrzydło biały ptaku —  
Wiara wali — »Bij Moskali!«  
Gnąją wściekle do ataku.

Grzmia armaty — ciężkie straty,  
Garstka tutaj — tam tysiące.  
Krwawa droga — przemoc wroga,  
Trupy kładą się na łące.

Krok za krokiem, twardym tokiem,  
Drogo sprzedać swoje życie...  
Noc jesienna, mroczna, senna,  
Słychać głuche wiatru wycie.

Wróg przed nami, bagnetami  
Przebić trzeba wraz z szyki,  
Grzmia za nami, wystrzałami,  
Zamęt — tomot — jęki — krzyki.

Cichnie wrzawa. — Łuna krwawa  
Hen — dogasa już powoli.  
Bój przegrany, a kurhany  
Z stratowanej wzrosną roli. —

### BÓJ POD B. . . . .

Czy pomnisz bracie ten straszliwy bój,  
Gdy w koło walka wściekła rozszalała,  
Że aż od huku ziemia drżała cała,  
Czy pomnisz bracie mój?

Czy pomnisz bracie ten pocisków grad,  
Co szarpał rowy, wył, świszczat, zawodził,  
I murem ognia drogę nam zagroził,  
A z trupów stosy kładł.

Czy pomnisz jeszcze piekło owych dni,  
Garstki rozbitej ofiarne szaleństwo  
I to wydarte przez rozpacz zwycięstwo,  
Wśród trupów, kaluż krwi?

...  
Czy pomnisz jeszcze...?

Ten skowyt, tomot, armat głuchy ryk,  
Jakby się gromy waliły na głowę,  
Ostrza bagnetów od krwi purpurowe,  
Jęki i przekleństw krzyk.

Walkę na pięście, pazury i kły,  
Trzask kolb, szczęk stali, bluzgot, zamęt wrzawy,  
Bój bez pardonu śmiertelny i krwawy,  
Ja zginę albo ty.

8 XI 1915.



*Za pozycją.*

*Fot. T. Langier.*



*W lasach*

*Fot. T. Langier.*



*Kwatera trenu.*

*Fot. Goliński.*



*Legioniści ratują palącą się wieś.*

*Fot. Mucha.*



## Ś. P. WŁADYSŁAW BUDZYŃSKI (BANDAR)



11. maja b. r., gdy pierwsza Brygada przeszła Nidę i ruszyła za cofającym się przeciwnikiem, koło dworu w Skowronnej natrafiono na ciało legionisty, skłute aż do niepoznania bagnietami. Na szczęście ocalała karta wojskowa i z niej dowiedziano się, że zabitym jest Władysław Budzyński (pseud. Bandar), szeregowiec trzeciej kompanii drugiego batalionu drugiego pułku. Przed paru dniami, jeszcze gdy stano nad Nidą, poszedł on na patrol i nie wrócił.

Zwykle, codzienne zdarzenie w życiu żołnierskim: podeszli go niespodzianie, bronił się i zginął, jak jutro zginie drugi, dziesiąty.

A jednak ten samotny grób w Skowronnej kryje zwłoki dzielnego, serdecznego chłopca i dobrego żołnierza swego kraju. Tacy jak on, prości, naturalni, myślący tylko o kraju, o spełnieniu obowiązku, a nigdy o sobie, przechodzą przez życie bez wzmianki, choć nikt i nigdy nie przeszedł koło nich bez uczucia głębokiego wzruszenia i szacunku. Na nich opiera się cała wartość naszej walki dzisiejszej; oni nadają ten niezwykły urok szeregom legionowym.

Budzyński wystąpił z gimnazjum w Częstochowie już z siódmej klasy, w czasie strejku szkolnego. Długo szukał on później odpowiedniego zawodu, aż znalazł go w zakresie sztuki stosowanej, jako jeden z najznakomitszych uczniów prof. Procajłowicza.

Na wiosnę r. 1913, gdy to zdawało się, że już wybuchnie burza wojenna i sprawa czynnego wystąpienia polskich organizacji wojskowych stanie na porządku dziennym, Budzyński porzucił swą pracę w Londynie i przyjechał do Krakowa, aby wstąpić w szeregi. Zaciągnął on się wówczas do drugiej polskiej drużyny strzeleckiej i oddał całkowicie pracy wojskowej: brał udział w kursie instruktorskim w Rabce, złożył egzamin podoficerski. Należał on do tej grupki drużyniaków, która skupiała się dokoła śp. Pększyca-Grudzińskiego, widząc w nim swój ideał żołnierski. Był zresztą przedewszystkiem artystą, a więc osobnikiem, który z pewnym trudem naginał się do wymagań karności żołnierskiej. To chodziło mu o wprowadzenie do Drużyny nowej piosenki, to znowu ofiarowywał bukiet oficerowi, który dobrze poprowadził ćwiczenia, to wreszcie dawał się unosić swemu temperametowi; zawsze przytem był on gotów oddać ostatni grosz koledze i znosić potem długie dni postu...

Po wybuchu wojny stanął w szeregu tej kompanii drużyniackiej, która stała się później pierwszą kompanią pierwszego batalionu, drugiego pułku. Z Paczółtowic poszedł na ten patrol sześciodniowy do Królestwa, gdy to na 10 ludzi otrzymano na drogę 16 koron. Wyruszył później na Węgry, bił się następnie pod Mołotkowem, gdzie przykrył płaszczem zwłoki swego kolegi Lemańskiego, których nie można było zabrać. Po pewnym czasie, ciężko chory, znalazł się w jakimś szpitalu w Tyrolu, gdzie mieszkańcy tak serdecznie opiekowali się legionistami.

Ciągnęło go zawsze do pierwszej Brygady, gdzie walczyła większość jego kolegów. W styczniu b. r. pojawił się w Sławkowie ze swoim „grekiem“, którego nie mógł się dość nachwalić. Opowiadał wtedy dużo i prosto o doli swej kompanii w Karpatach: o pierwszych ciężkich marszach, o głodzie, o sposobach zdobywania żywności, o gościnności wsi rumuńskich, o patrolach bez map i bez przewodników, o ciągłej tęsknocie do walki w Królestwie. Znalazł wreszcie okazję i ruszył do Kęt ze swym nieodstępnym „grekiem“, wesoly, rzeźki, ścisłkający silnie wyciągnięte do siebie dłonie.

Kto go znał, ten na chwilę nie zwątpił o tem, że i w ostatnim, ciężkim momencie swego życia, zachował on się jak na żołnierza polskiego przystało; mówi o tem zresztą to skłócie bagnietami, widomy znak odwetu nad tym, który się nie poddaje.

W. Tokarz.



S. P. TADEUSZ KURPIEL.  
ŻOŁNIERZ II. BRYGADY.

Rys. Ludwik Kwiatkowski.

## NEMO: CZORTOWA KREPOŚĆ.

Smutniejsza była tego roku jesień... jeszcze smutniejsza jak zawsze.

Wiatr szemrał w suchym listowiu starych dębów, chylących sękatę konary nad dachem wiejskiego dworu. Po niebie ślaniały się chmury, ruchem znamionującym wyczerpanie, jakby były resztką wymęczonej w straszliwej bitwie armii, niedobitkami oddziałów, co rozstrzelone po bezmiernym obszarze włoką swe ciała napół jeno jeszcze będące mieszkaniem dusz, które wychylają się na zewnątrz, żadne ujść jaknajprędzej tam, gdzie niema szarpaniny życia, ni musu czynów, po których drży serce i mdleje rozum.

Pełzały poprzez tarczę słońca, a ono prześwietlało je i złociło ich kontury. Szły w jedną stronę, dążyły gdzieś. na kwaterę nieznaną, daleką, przeczuwaną jeno... na spoczynek, którego może niema wcale. Pchał je tensam wiatr-mus, który popycha wszystko inne na niebie i na ziemi, tensam, który pędzonej bezdrożem kolącego ścierniska ludzkiej istocie podszeptuje szydlerczo pochlebstwa, tak, że omamiona powiada sobie: Idę, bo chcę iść — a zapomina, że musi.

Chwilami odslaniały się nieumiarowe płaty, jaskrawym szafirem świecącego nieba i sama tarcz słońca, wieczyście pogodnego, którego niepojęty spokój dlatego może tak olbrzymi, że daleki.

Wówczas potraskany, olbrzymiami dziurami poplamiony, czerwony, blaszany dach opływała fala miedzianej poświaty, a napotkawszy czarny krater wybitej pociskiem rany, rzucała się w nią kaskadą, spadała siklawą na rozniezione w chaos niepojęty i dziwaczny belkowanie, rozpryskiwała się po zrujnowanym strychu i otworami sphywała do komnat i kurtyarzy, w fantastycznych odskokach rzucając się po ścianach, posadzkach, wpadając we wszystkie kąty i zakamarki.

Jesienny wiatr płynął przez otwory wydartych z ramami okien do wnętrza, zwiedzał pustać, przewiewał z jednego kąta w drugi lotne świstki poszarpanego papieru, oglądał obracając na wszystkie strony, strzępy

portyer i zwisające ze ścian łachmany szafirowego, w srebrne bukiety obicia... czynił przegląd inwentarza ńędzy, która tutaj sobie założyła osiedlenie, na gruzach spokoju i ciszy.

Jesienny wiatr pojękiwał żałośnie w kominie sterzącym wysoko ponad dach opadły, przykucnięty na krokwiach, jak trup czleka, który nie padł konając i długim przewodem jego wpadał na ruszt marmurowego, w brązową, rzezbioną w akanty ramę ujętego kominka, zdmuchując zeń starannie resztki popiołu. Wreszcie obiegłszy wszystkie kąty wracał i delikatnie, ze strachem, ruszał kartkami książki, trzymanej w rękę przez praporszczyka Sulejkiną, który leżał na wspaniałej, krytej prawdziwym gobelinem, poszarpanej ostrogami otomanie.

Praporszczyk Joan Joanowicz Sulejkin, ozdobiony medalem „za chrabrost“, czytał z wielkim mozolem polską książkę, sylabizując półgłosem.

Przy otomanie, na ziemi leżała cała ich sterta. Rozrzucone, pootwierane, skarżyły się, jak pobite ofiary niebu się skarżą, otwartymi oczyma — cytatami wierszy i fragmentami prozy, wielkiej girlandzie szafirowych, barokowo malowanych niezabudek na plafonie, zakopconym, świecącym wielkimi plamami odpadłej wyprawy... to znów spały, jak śpi zabity, twarzą do ziemi, rzuciwszy blade karty czerpanego papieru na pokrytą skorupą zeschłego błota, brzostową, wzorzystą posadzkę.

Sulejkin co chwila ciskał ruchem zniechęcenia jedną książkę, brał, nie podnosząc się wcale, drugą z kupy leżących przy nim, i po kilku minutach odrzucał ją znowu.

Oparte o ścianę stało wielkie, w dolnej części strzaskane zwierciadło, ujęte w wenecką, z drobnych, polyskliwych lamelli złożoną ramę. Od czasu do czasu Sulejkin rzucał w nie długie, badawcze spojrzenie.

Niedawno, czy przyglądał się samej swej osobie, przybranej w migdałowy, jedwabny uniform i jaskrawo seledynowe spodnie, czy podziwiał odbłask niepraw-

dopodobnie pięknie wyczyszczonych butów palonych, po każdym atoli spojrzeniu wzdychał, a westchnieniem temu towarzyszyło coś w rodzaju ziewnięcia.

Pod ścianami stały różnej wielkości kufry i kuferki, pośród nich zaś marmurowa, na brązowych nogach oparta, przez sam środek płyty pęknięta umywalnia, obstawiona mnóstwem flaszeczek, oraz najprzeróżniejszymi przyrządami i przyborami toaletowymi.

W powietrzu, mimo ustawicznego przewiewu wiatru trwała niewzruszenie duszna, mdląca woń dziegiu i bżowych perfum.

Ciszę przerywało tylko pomrukiwanie sylabizujące fatalną polszczyzną oficera i pogwizd wiatru.

Naraz, gdzieś niedaleko zadzwoniły kopyta końskie. Tętent urwał się nagle.

— A to ten sukinsyn Nikoła! — powiedział do siebie głośno Sulejkin. Nu da!

Ciekawy był, co też mogła dzisiaj przynieść poczta. Ale ciekawość ta nie musiała być zbyt intensywina, gdyż Sulejkin nie ruszył się wcale, ale trwał dalej w bezruchu.

Słuchał. W kredensie, obok zastukały tymczasem obcas i rozbrzmiała rozmowa.

Czekał tak chwilę, wreszcie warknął:

— Wot sukinsyn! Rozmawia, zamiast przynieść. — Ogarnęła go nagle pasya.

Począł grzbietem trzymanej w rękę książki stukać co sił w podłogę.

Rozmowa natychmiast ucichła, i zaraz wszedł do pokoju młody, zgrabny, smukły kozak. Przez plecy miał przewieszoną wielką, czarną torbę. Stał u drzwi z dłonią przy czapie.

— Dawaj! — krzyknął popędliwie oficer.

Kozak przyklęknął u otomany, a on wyjął z torby całą paczkę listów rozmaitego formatu i barwy.

Zważył je w dłoni, potem wysypał na książki, położył się wygodniej i zaczął przeglądać jeden po drugim. Niektóre otwierał, inne rzucał napowrót. Nagle usiadł i trzymając w rękę wielki, ordynarny papier, rozkazał:

— Nikoła!

— Słuszajus wasze wysokobłagorodje!

— Siej czas łózko... pościel... szafa... nu da... i... umywalnia... tam... do biblioteki. A pozatykaj dziury. Przyjeżdża gaspadin praporszczyk Piotr Nikoforowicz Freegen... panimal?

— Taks toczno, wasze...

— Freegen... praporszczyk...

— Słuszajus wasze...

— Paszoł won!

Kozak znikł jak widmo.

— Skąd on wytrząśnie te rzeczy... — pomyślał Sulejkin. — Czort pabieri! — zakonkludował głośno i położył się znowu, starając się odnaleźć poprzednią, niezmiernie wygodną pozycję.

Ale jakoś nie szło, tedy rozjuszył się na seryo:

— Freegen — myślał — Wot Germaniec! Trzebaby już raz nakoniec wyzbyć się z armii wszystkich tych Germanców. To nasze nieszczęście prawdziwe.

Leżał czas jakiś. Wreszcie uspokoił się i rzekł do siebie:

— Ostatecznie... niewiadomo ilu zostałoby w takim razie oficerów do służby we froncie... Wot bieda. Ale, poco on tutaj przyjeżdża właściwie? Mnie pomagać? Ha, ha, ha... pamoczik! Thii... niech będzie. Prędeż dostanę urlop... na oddech. Chociaż nie... nie chcę urlopu... nie!

Westchnął, spojrzął znowu w zwierciadło i wzięwszy

porzuconą książkę, rozpoczął znowu z mozołem sylabizować.

Z za ściany dochodził pogłos przyciszonej rozmowy. Było to raczej napoły śpiewane opowiadanie, z rzadka przerywane wykrzyknikami zdziwienia.

W „kredensie“, z którego pozostało teraz już tylko kilka nadrabanych, pustych szaf i koziółek z rowkiem na dole, oraz poprzeczką w górze, służący ongiś do czyszczenia noży stołowych, siedzieli dwaj dienszczyki, tłu-sty, utykający nieco na lewą nogę, obstarni już i wiecznie spocony i zasapany wielkorus, Trofim, oraz przybyły właśnie, młodziutki ukrajiniec, śmigły jak panielka, ubrany w szarą bekieszę, przepasany wąskim paskiem, w którym tkwiły wielkie srebrne guzy, piastujący teraz na kolanach srebrem nabijany, nieodstępny kindżał.

Trofim siedział na wielkiej, czerwonej, nastrzępionej, jak sowa, ongiś jedwabnej kanapie. Siedział zapadłszy się głęboko i poprawiał się ustawicznie. Widocznie dolegały mu połamane sprężyny. Kozak przykucnął na zydelku własnej fabrykacji, o nogach machoniowych, zapożyczonych widocznie z jakiegoś mebla.

Rozmawiali. Kozak opowiadał co usłyszał w mieście. Zawodzącym, śpiewnym głosem snuł nieskończoną, zdało się, opowieść, zaś Trofim z wyciągniętą szyją i nastawionymi uszami dziwił się ciągle temu, co słyszał. Opowieść przerażała go widocznie, gdyż w oczach miał strach, a krople potu lśniły na wypukłym, wychylającym się z pod zasuniętej na tył głowy furazki, umorusanem czole.

Okno kredensu wychodziło na front, spoglądało na szeroki podjazd, pusty teraz i zarośnięty zmiernym, napoły już zeschem zielskiem. Przez okno widać jeszcze było szmat gazonu i grupę wyniosłych, rozchwianych we wietrze topoli. Pośród nich widniała rozwalona pusta psia buda, nakryta fantastycznie w górę przekrzywionym, na czerwono niegdyś pomalowanym, blaszanym daszkiem. Po gazonie chodziły dwa konie, wlokąc za sobą długie sznury. Chodziły i wyskubywały kosmyki trawy, wydzierając ją z trudem ze skopanego, zwichrzonego gruntu, na którym walały się zielone słupki podtrzymujące dawniej pnie róż sztamowych, dalej leżały rozgniecione puszki konserwowe i resztki niepoznawalnych już dzisiaj najrozmaitszych przedmiotów.

Mikołaj przysunął swój zydelek blisko do kanapy Trofima i nucił śpiewnym, lamentującym głosem, w dalszym ciągu:

— Wot... Nietylko sama czortowa krepość... wsio u nich zaczarowane. Słysz! Na premier. Znalazł ja raz taką rurę. Taką jak kielbasa pokręconą tam i nazad trzy albo cztery razy... wiesz? To jest ich piec. Takisam był w podwiżnym gospitalu i grzał, grzał aż miło, a nikoly się w nim nie paliło. Bo i jakże palić, kiedy niema dziury na drzewo... Germański piec... wot! Nu da. Znalazł ja, a na kwartirze był ziąb... czort pabieri! Przynoszę ja ten piec... pięknie, ładnie... na plecach, w nocy. Nu da. Przynoszę, stawiam pod ścianą, akuratnie, jak w gospitalu, przybijam z obu stron, takimi ot bretnalami, no i nic. Czekam ja trochę... macam. Zimny sukinsyn! Czekam jeszcze. Nu da. Macam... znowu zimny. I tak było ciągle... przez calusienką noc. Ot nie chciał ogrzać kozaka! Tam w gospitalu byli wracze, aficiery byli... to się bał, więc choć russkich... grzał. Ale kozaka... niet, ze wsiem niet!

— Kakiś płochyj buw, nawierno!... — zrobił swoje przypuszczenie Trofim.

- Tak niczewo płochy... przecież był tensam... tensam, i z hospitała...
- Nu... nu... — zdumiewał się Trofim.
- Wot zaczarowany piec.
- Nu da... a eta krepość... — dopominał się Trofim.
- Eto ze wsiem czortowo dzieło... — zapewnił Nikola.
- Słysz. W nocy pokazuje się na niebie, nad tą krepością ogromna, biała płachta i świeci jak sam księżyc... nie, jeszcze mocniej, jak księżyc w pełni. Wszyscy russcy patrzą zdaleka na tę płachtę... a jest tam milion russkich sałdatów pod tą krepością. Wyłażą wszyscy z rowów i dziwiają się. Ale to jeszcze nic. Naraz na płachcie pokazuje się... Wiesz co?
- Nu da... czort!
- Niczewo padobno... Ukazuje się Matka Boża. Niby, że to ona broni krepości przed naszymi... rozumiesz?
- Nu kak'e... ty skazał: eto czortowo dzieło? — zdziwił się Trofim.
- Właśnie jestto kłamstwo, samo kłamstwo. To nie jest Matka Boża, ale czortowo dzieło. Sam szejtan przyjmuje postać Bogarodzicy, niepomny, że to straszny grzech... straszny grzech.
- Od tego jest szejtan, by grzeszył... nu da — powiedział Trofim.
- Kiedy nasi, ciągnął dalej Nikola — nie chcąc się wdawać w dysputę — kiedy nasi wybałuszyli wszyscy oczy na płachtę, płachta zaczyna świecić coraz to mocniej. Rozumiesz, za nią, za tą płachtą, czort rozpała straszny ogień piekielny.
- Przynosi z piekła, gdzie on jest gotowy, rozpalony już — poprawił Trofim.
- Tak wsio rawno. Przynosi, czy rozpała, dosyć, że płachta świeci coraz to mocniej, wreszcie nagle...
- Jej Bogu... — szepnął Trofim i przeżegnał się.
- Nagle spada...
- Czort? — pisał Trofim cieniutko, i skulił się na kanapie.
- Nie... nie czort! Spada płachta....
- A Bogarodzica....
- Wszystko razem spada... ty durak... wszystko spada i światło piekielne razi, jak nie wiem co, oczy naszych, co wybałuszyli ślepią na płachtę szatańską.
- Dobrze im tak... — odsapnął Trofim. — Poco patrzyli na szatana? Ja dumał, że to coś gorszego będzie.
- Durny czelawiek... krugom durnyj! — oburzał się Nikola.
- Nu da... — przyznał pokornie Trofim.
- Chyba nie wiesz, że wszyscy ślepną. Tysiące i tysiące ślepnę. Raz na zawsze.
- Bieda... wot bieda.
- Dieńszczyk od samego kniazia Eristowa przysięgał mi, że sam widział w hospitału może ze stu, a może i więcej ślepych russkich sałdatów. Tak to oni wszyscy mają z czortem stowariszczenie... da, da.
- Przysunął się do kolegi i osłaniając usta dłonią, szepnął mu:
- Nu, a te czornyje sałdaty bezsmierne.... ha?
- Jej Bogu! Kakże... bezsmierne....
- Czortowe roty. Słysz. Każdy goły po pas. Każdy ma spise dłuższą od kozackiej i nóż okrągły jak sierp w rękę.
- Okrągły... po co?
- Nie śmieju znat! Ale ma. Trafisz takiego kulą, albo i dwoma. A on tylko podskoczy do góry wysoko i znowu stoi na nogach.
- Kakże... zabit i stoi?
- Durak... durak. On nie zabit. On żyw... on bezsmierne sałdat!
- Taks toczno! — przyznał Trofim.
- To jeszcze nic...
- Gospodi Boże....
- To jeszcze nic. Czarne sałdaty umieją latać po powietrzu, jak nietoperze. Czasem, kiedy się wzniesie cała rota szatańska, to gwiazd nie widzisz, choć niebo czyste.
- A słońce widać?
- Oni latają tylko w nocy.
- Dlatego są czarni... nawierno dlatego... już ty mi Nikola nie mów, ja wiem!
- Nie dlatego... ty durak, ja wiem dlaczego!
- Nu, paczemu?
- Dlatego, że są to czarni sałdaci szatana. Tak mówił dieńszczyk od kniazia Eristowa, a on chyba wie już dobrze... co, może nie wie? Ale to jeszcze nic!
- Jeszcze nic? A kiedyż będzie coś?
- Słysz! Jeden Orenburczyk skazał dieńszczykowi kniazia Eristowa, a on mnie. Wot. Ani orenburskie, ani kaukazkie kozaki już nie pójda pod krepość. Zginęło ich tam mnogo... mnogo, może ze sto milionów a może i więcej, tak, że mury ciał pomordowanych przez szejtana wznoszą się wysoko, jak mury kamienic w mieście.
- Jej Bogu...
- Tak jest, powiadam prawdę. Konie nawet poznają swoich zmarłych i iść nie chcą.
- Nu da, łoszad zawsze mądrzejsza od grzesznego czelawieka... nu da.
- Teraz pod krepość pójdziemy my, Zaporozcy... ale nie tak jak myślisz, na śmierć... na same pazury szejtana, bodaj on zdechl sukinsyn...
- Nikołuszka... Nikołuszka, riebianok... nie mów ty źle o czorcie, bo on jest pan wielki... straszny pan...
- Jaki tam pan znowu... — powiedział cicho Nikołuszka i obejrzał się przezornie wokoło. — Jaki tam znow pan, kiedy mu krowa da radę.
- Krowa? A to czo eto...
- Nu da. Spędzi się wielką, ogromną masę krów czarnych. Ze sto milionów a może i więcej... pewnie, że więcej. U nas krowy są. Trzodę tę będziemy my Zaporozcy pędzić przed sobą aż pod samą krepość. Czort strasznie lubi mleko. Wiesz przecie, jak lubi.
- Taks toczno, znaju... co nie mam znać...
- A przytem on strasznie głodny, bo w krepości niema co jeść. Więc tedy wiele jest szejtanów podwładnych czortowi i on sam, wlezie zaraz każdy w jedną krowę i wszyscy zaczną cyckać mleko jak cielęta... wiesz przecie Trofim jak będą cyckać.
- Nu da... co nie mam wiedzieć. Ale co z tego, że będą cyckać jak cielęta?
- Z tego będzie to, że kiedy czort zajęty cyckaniem mleka, przestanie bronić krepości, to my wtedy pójdziemy na szturm i weźmiemy ją. Tak zrobimy my, Ukraińcy... sławne molojcy...
- Pójdziesz i ty Nikołuszka? — Co? — spytał z niepokojem Trofim.
- Niczewo padobno... — ja dieńszczyk...
- No to haraszno... eto oczeń haraszno... — pocieszył się.
- Nagle rozległy się w sąsiednim pokoju żywe, niecierpliwe kroki.
- Słysz Trofim. Ja ci coś powiem, ale przysięgnij, że nie zdradzisz.
- Nu! — dziwił się Trofim, ale nie spieszył się z przysięganiem pewny, że i tak się dowie.

— Mnie powiedział dięszczyk od kniazia Eristowa. My Zaporozcy weźmiemy krepość, ale może także być, że go nie weźmiemy.

— Nuul! — zdziwił się dalej Trofim. Albo weźmiemy, albo nie... kanieczno tak.

— Glupis! Trofim.

Praporszczyk chodził coraz to szybciej po pokoju.

— Słysz durny Trofim. Ja ci powiem... Tylko tak napręde, bo... on siej czas zawoła...

— Nu da...

— Wiesz kto siedzi w krepość? Ha?

— Nu da, znaju, czort siedzi...

— Glupis. Tam siedzi mocniejszy od czorta. Nu, kto mocniejszy od czorta?

— Jego teściowa!

— Nu da... Nie idzie o żarty. No, kto mocniejszy od czorta?

— Nie znaju!

— Gosudar...

— Gospodi Boże... — przeżegnał się Trofim a potem zatkał sobie usta pięścią, jakby to on właśnie wymówił straszne imię. — To, a paczemuż on tam siedzi Niko-

luszka? — zapytał nagle olsniony niespodziewaną nowiną.

Nikoła objął go za szyję i przykładając mu wprost do ucha usta, szepnął:

— Bo to jest widać jedno jedyne bezpieczne miejsce w Rassyi... tam go nikt nie szuka!

— Tak niczewo padobno! — oburzył się Trofim.

Nikoła szybko sięgnął za cholewę buta i podsunął pod nos towarzysza kartkę korespondencyjną z obrazkiem.

— Tak posmotri durak! — rzekł drwiąco.

Na kartce widniały zręby twierdzy z pośrodku której wyszczerzał zęby potwornie wyrysowany „głód“.

— Nu, nu!... — dziwił się Trofim, a pot gęsty wystąpił mu na czoło.

— To mienia dał dięszczyk kniazia Eristowa ...nu?

— Taks toczno! — przyznał ze skrucą Trofim. — Nu, a paczemu boje? Paczemu ciała pobitych leżą wysoko jak mury kamienie?

— Ej durak, durak! — pokiwał głową Nikoła. Ta ty nie znajesz, że nasz... gosudar eto, jakby na premier ten germański piec... cóż jemu tam saldat... ..tak niczewo...

## P R Z E G L Ą D.

### KOŚCIÓŁ W POŻAJŚCIU PODKOWNEM.

Mało komu jest wiadomem, że w najbliższej okolicy Kowna, w odległym od miasta o 8 km. Pożajściu, miejscowości na żadnej mapie nie oznaczonej, ustronnej, zapomnianej, aczkolwiek malowniczej, znajduje się zabytek historyczno-artystyczny, jeden z najciekawszych na całej Litwie i jeden z najbardziej znamienitych dla swego czasu.

Kościół — zamieniony na cerkiew, polski pomnik sztuki — w ręku rosyjskim, czyż w naszych warunkach mógł nie stracić związku z otoczeniem i wypaść z pamięci? To stało się losem kościoła Pożajskiego, gdy po powstaniu 1831 r. został wraz z klasztorem i dobrami zabrany zakonowi Kamedułów, w czasie do r. 1840 przeistoczony na cerkiew prawosławną, wewnątrz przerobiony, ogłocony z pamiętek i jako „Uspienskiej pierwoklasnyj monasty“ oddany pod władarstwo czernców schizmatyckich. Twór sztuki kościelnej Zachodu nie był dla uczonej rosyjskiej, mogących go łatwo i z urzędu opisać i dbać o jego rozgłos, ani uczuciowo, ani geograficznie dość bliski; nie bardzo nawet pamiętano, że w Pożajskiej świątyni spoczął twórca melodyj do hymnu: „Boże Caria chrani!“ muzyk Aleksy Lwow. Polakom zaś kazały stronić od zagarniętej pamiątki przykre wspomnienia, obraz zmian i trudności dostępu.

Toteż dopiero teraz przemówi Pożajście na nowo i pełnią swego wyrazu. — jeśli tylko z powodu ścisłego sąsiedztwa z twierdzą, nie uległo wojennemu zniszczeniu na większe rozmiary. Oku zawodowego badacza ckaże się kościół z klasztorem przemianą niespodzianką, pełen uroku zabytek stanie się odkryciem dla nauki i zagranicy.

W przepięknym wyżynnym położeniu, na skraju widniejących wokół lasów, pozostałych po dawnej puszczy nadniemeńskiej, wzniesiona rękami włoskich mistrzów i rzemieślników, stoi zgrabna, ośmioboczna, późno-barokowa budowla centralna o wyniosłej kopule, z dwiema na czele wieżami, wykładana wewnątrz aż po gzyms marmurem, zdobna w stiuki i malowidła; otoczyły kościół zabudowania klasztorne, rywalizujące z nim wewnętrznym zdobniczym uposażeniem i ogród rozległy, w którego obrębie mie-

ścił się, złożony z licznych domków erem milezących asce-tów surowej reguły św. Romualda.

Sprowadził ich w te strony Krzysztof Zygmunt Pac, kanclerz wielki litewski, znany w dziejach Rzeczypospolitej jako zaufany stronnik dworu Jana Kazimierza i polityki francuskiej. On to, zawiedziony w wielkich planach i ambicyach, czy też dla uspokojenia obciążonego sumienia, jak chce legenda, stworzył w drugiej połowie 17-go stulecia dla kamedułów mnichów tę „Górę Pokoju“, *Monasterejska Góra*, jak zwano po klasztorne Pożajście, z panegiryczną równocześnie aluzją do nazwiska dostojnego fundatora, wywodzącego się dla próżności od florenckich Pazzich. Igraszkowe, dwuznaczne nazwanie, miało się jak inskrypcja ryć w pamięci współczesnych i potomnych i przemawiać do nich: oto Góra Paca, oto fundacya Pacowska.

Pod jego okiem dźwignęły się mury, którym ostatnie wykończenie miał nadać synowiec, spełniający przedśmiertną wolę fundatora.

Imponujące środki, jakimi można było w Polsce rozporządzać i których nie skąpiły na artystyczny przepych wznoszonych dla siebie, lub przez siebie fundowanych budowli, dojszły w tym dziele dewocji, ofiarności i dumy, lecz zarazem świadectwie dobrego smaku polskiego senatora i magnata, do sumy 2 milionów złp., a nawet do 8 milionów, łącznie z szcudrem uposażeniem w ziemi, — wedle zaś wulgarnej i legendarnej wersji ofiarności kanclerza dla siedziby Kamedułów wynosiła 8 beczek złota. Daje to miarę wysiłku, użytego na stworzenie rzeczy, bądź co bądź niezwyklej. Na pogrzebie Paca w r. 1685, pochowanego bez wystawności w podziemiu ukończonych przez niego murów, gdzie też spoczęła małżonka jego, Franciszka, ze znakomitego rodu hrabiów de Mailly, wołał duchowny panegirysta, stawiając pana o hojnym geście i wskazując na kreację Pożajską: „z tej puszczy ósmy cud świata światu pokazał, a bardziej Niebu“.

W zmienionych warunkach, po przeistoczeniu kościoła na cerkiew, głównym przedmiotem podziwu w świątyni o przygasłym dziś artystycznym blasku i zubożałym pod każdym względem, pozostały freski w bocznych kaplicach,

na ścianach u wchodu, na niektórych sklepieniach i we wnętrzach dawnej zakrystyi, refektarza i t. d. Malował je w ostatnich latach panowania Jana III malarz włoski nazwiskiem Del Bene, interesujący epigon Weroneza i Tintoretta, tem ciekawszy, że w ojczyźnie swej, we Włoszech, zgoła zapomniany, a u nas upamiętniony jeszcze drugim dochowanym, niepoślednim dziełem dekoracyjnym: freskami w Święto-Kazimierskiej kaplicy w Wilnie. Malowidła pożajskie przedstawiają sceny z biblii i żywotów świętych, a na niektórych z nich, wyróżniających się ujęciem rzeczy w sposobie wielkich mistrzów weneckich 16-go wieku, uderzają realizmem postacie świeckie w współczesnych ubiorach i typy polskie. Dwie arcyciekawe sceny: Nawiedzenie eremitów św. Romualda przez Bolesława Chrobrego i Wstąpienie do ich zakonu Kazimierza „Mnicha“, zostały przez nietolerancję rosyjskiego duchowieństwa, niestety, zamalowane. Jak osobliwe były to obrazy można nabrać pojęcia z rysunków, zdjętych przed ich zniszczeniem, — o których piszący podał wiadomość wraz z reprodukcją w rozprawce, poświęconej Pożajściu, w V-tym Roczniku Towarzystwa Przyjaciół Nauk w Wilnie.

Dekorację rzeźbiarską kościoła wykonał w gipsie Jan Merli w r. 1676, a planów budowlę dostarczył architekt Ludwik Fredo, — obydwaj zarówno jak Del Bene, dotychczas niewzmiankowani w dziejach sztuki włoskiej artyści.

Poza ważnem znaczeniem pamiątki artystycznej, godnem jest jeszcze przypomnienia Pożajście jako miejsce, zapisane w religijno-obyczajowem życiu Litwy. Błyszcząc przez półtora wieku podobną rolę, jaką przypadła Bielanom pod Krakowem, równając się im, a nawet je przewyższając jednolitością artystycznego powabu, ściągając kamedulski kościół przed konfiskatą za Mikołaja I. ludność okoliczną do swego, łaskami słynącego obrazu Matki Boskiej, czczonego nabożnie także dzisiaj, zarówno przez katolików jak przez prawosławnych przybyszy.

Kościół z klasztorem zamyka w sobie także garstkę wspomnień historycznych i anegdotycznych. tudzież odzywa się echem w literaturze naszej pierwszej połowy 19-go wieku. Zwiedzał Pożajście Niemcewicz w swych objazdach Polski, poznał je Mickiewicz, podczas wycieczek z Kowna. a Pol pod wrażeniem wypadków 1831 r. poświęcił mu nastrojowy wierszyk, popularny, nawet wyśpiewywany w swoim czasie. Pisywał o tej miejscowości Syrokomla i inni.

Tak więc i cennosc rzeczy i tradycya nakazuje nam objąć w umysłowe posiadanie zapomniany zabytek, i weielić go do inwentarza polskiego kulturalnego mienia. Zrestytuowanie kościoła, a w odpowiednim czasie odrestaurowanie, wywiodą tę chlubną pamiątkę przeszłości z powrotem na dawne, poczesne miejsce.

*Zygmunt Batowski.*

## TEATR PRONASZKÓW.

Mało kto o nim wie, o tym teatryku zamkniętym w ciastnym pokoiku dużej willi, którego widownia objąć może najwyższej siedm osób. Scena jego liczy „kilkadziesiąt centymetrów wszerek i wzdłuż“, a aktorzy mileczą i występują w kostymach — z bibułki. A jednak wywarł on na mnie duże wrażenie, bo uderzył mnie swoją myślą nową.

Gdy szedłem do niego pierwszy raz, wiedziony przez entuzjastę teatru p. Witolda Hergeta, zima przykryła właśnie świat ogromnemi zaspami śniegu, a z gałęzi świerków koło Lilianny zwieszały się ciężkie okiście. Była to już wczesna, powieczorna noc grudniowa. Zdawało się nam, że trzech zliśmy tylko, że błądzimy przez ogród fantastyczny. We-

drowka ta była też dobrym następem do tego teatru, do którego wchodziliśmy już z nastrojem w duszy.

Przyszlśmy jednak zawczasie. Właściciel spóźnił się, bo zajęty był pracą dekoracyjną koło „Legionu“. Przy świetle zapalek więc oglądaliśmy ów teatr niewielki, jakby zabawkę przeznaczoną do występu maryonetek. Wszczęła się między nami rozmowa o zadaniach sztuki. Dowiedzieliśmy się wówczas, że Pronaszkowie wystawili już Minkiewicza „Królową Morza“, a przygotowali dekorację do „Romantycznych“ i opracowują scenicznie dzieła Wyspiańskiego.

„Celem ich — mówił p. Herget — jest usunąć z teatru to, co przypadkowem jest i zbytecznem. Gałąź zwisająca bywa dziełem przypadku, zastąpić ją ma ją linia lasu. Dążą oni do płaszczyzn prostych, w sobie zamkniętych, a oświetlonych całą muzyką tonów. Reinhardt, a zwłaszcza jego inscenizator Adolf Appia zrobili wiele. Odrzucili naturalizm, a stworzyli syntezę realizmu. Gdy w „Tristanie“ scena przedstawiać ma kuźnię, oni całą przestrzeń odsłoniętą zbudowali w kształt kowadła. Odrzucali także, co zbyteczne, gałęzie, kwiaty, mnogość ornamentów. Chcieli dać wrażenie skupione, nie sięgnęli do symbolu. Dalcroze lękając się zbytku dekoracyi, mimowoli poszedł jeszcze dalej. Ustawił jedynie klocki i scenę odpowiednio oświetlił. Jak postąpili Pronaszkowie, zobaczycie, kiedy nadejdą“.

Istotnie, gdy dopalaliśmy ostatnie zapalki, przyszedł starszy brat Pronaszkowski i zabrał się odrazu do zajęcia. Dostrzeżliśmy wówczas cały system lampek różnobarwnych z różnych stron sceny ukrytych, które zaświeciły płomykiem elektrycznym. I odrazu ujrzelśmy niegraną w Krakowie scenę z „Legionu“ „Noc nad wielkimi wodami“. Po liniach fal przemyka się statek z załogą, jak Dant na znanym obrazie Delacroix. Nad łodzią unosi się maszt z muszlinu, z pod którego wygląda wyraźnie znak krzyża. To symbol. Twórcy jego dążą do symbolów. Przez umiejętne użycie światła, przestrzeń sceny zdaje się nie mieć końca i unosi się nad nią wielka cisza, której nie zmąci głos żadnej z występujących postaci.

Zamilkliśmy także i my wszyscy. Gospodarz nasz zakręca już lampki i ustawia nową dekorację. „Na kapitole“. Przed oczami widza nie masz nic prócz szeregu schodów w górę, które u szczytu nie kończą się wcale. U dołu ciemne, rozwidniają się wzwym strugami jasności. To szlak do światła. Droga, przed którą stoi Mickiewicz.

Schody te, sztywne, oświetlone, dalekie sprawiają na nas wrażenie najgłębsze. Zapominamy o szczupłości teatru i o dekoracyach z tektury. Schody te niewątpliwie mówią same za siebie. Czekamy dalej i milczymy uparcie.

A wreszcie obraz trzeci. Na „Via Appia“. Mówi do nas Pronaszkowski:

„Rządzą tu pionowe linie cyprysów i poziome sarkofagów. Do linii tych starałem się przywieść całą dekorację. Sarkofag, w głębi oświetlony, zdaje się stołem przykrytym białym obrusem. Wszakżesz to na nim, w myśl poety, odbyć się ma „Wieczerza Pańska“.

Już po wyjściu, powoli poczęliśmy porządkować swoje wrażenia. Niewątpliwie Pronaszkowie mają talent inscenizacyjny. Dekoracje ich wywołały w nas większe wrażenie, niż niejedno przedstawienie w wielkim teatrze.

Porównuję je mimowoli z widzianymi kiedyś dekoracyami sławnego „Baletu rosyjskiego“ i Reinhardta.

Przedstawiają one oku wielkie linie i wielkie płaszczyzny. Malarze opowiadają nam o szczegółach, a nie wiedzą, że w dziełach ich jest przedewszystkiem monumentalność i prostota. Scena ich tłómaczyć ma się sama odrazu. Dają ulgę oku, a wołają słuch, który zaostrza się i chwytka każde słowo poety. W ciszy, która

koło nas zaległa, słyhać było szept każdy, jak słyszemy go łatwo nocą, gdy staniemy w Krakowie przed poważnym, barokowym wejściem do kościoła św. Anny.

Usuwać skargi głośne od wielu już lat, że nowoczesna wystawa przytłacza często myśl i słowa artysty. Posiadają także tę dobrą stronę, że otwierają dla dzieł klasycznych nie tylko już wielkie, ale i małe teatry i dają tym dziełom poważne, stylowe ramy.

Dla Pronaszków istnieje tylko teatr klasyczny, wiersz i proza rytmiczna. Gdy poezja w Polsce musi sobie dopiero nownie zdobywać wielbicieli, oni entuzyści chcą zbudować teatr właśnie dla poezji. O trzech autorach myślą dziś przede wszystkim, o Słowackim, Wyspiańskim i o Szekspirze.

Dopuszczają jednak także w myśli farsę i komedię i obiecują stwarzać dla nich odpowiednie groteskowe dekoracje. Od owej pory naszych odwiedzin przebyli już próbę ogniową. Dał skłonić się do niej po długich usiłowaniach, w rocznicę śmierci Wyspiańskiego, twardy, lecz zapobiegliwy Dante-Baranowski. I mimo niedociągnięć, pośpiechu i zbyt szczupłej sceny, trzy części z „Legionu“, z których nie wszystkie nawet Solski wystawił, wywołały od początku duże wrażenie u publiczności, która słuchała goręcej i uważniej, niż zwykle wierszy poety. Nie było widza na najtańszym miejscu w teatrze, któryby nie odczuł zbliżania się ku sobie nowej myśli i nie dostrzegł, że ma przed sobą rzecz oryginalną.

Czy sztuka Pronaszków, którzy wykonują dalsze próby, znajdzie echo? Rzecz to przede wszystkim nas samych.

Mieczysław Smolarski.

## Z TEATRU.

Na widowisko świąteczne przygotowano „Dzieci kapitana Granta“; jest to pierwsze z zamierzonego przez dyrekcję cyklu przedstawień dla dzieci. Skrót sceniczny, z własnej powieści dokonany niegdyś przez Verne'go wespół z d'Ennerym, zainscenizował tym razem p. Offmański, w granicach obciętego budżetu złożył reżyser wystawę z zasobów rekwizytorni, a talent aktorów z dużym zaparciem ofiarował się najmłodszemu i najwdzięczniejszemu pokoleniu słuchaczy. Są to bowiem jedyni dziś widzowie teatralni, którzy nie idą tu trawić pod wieczór resztki zgrzyzot dnia ubiegłego ani w krańcowym wzruszeniu dramatycznym gapić się po widowni, kto siedzi w łóżach a kto na parkiecie, ale dla których jest tragedia niemal tem jeszcze, czem była na początku, rodząca się z ducha muzyki: dyonizyjskiem świętem winobrania, nadprzyrodzoną zjawą rzeczy nietutejszych, oczyszczaniem dusz w arystotelesowej katharsis lęku i współczucia. Nie sądzę zatem, aby feerya teatralna w znaczeniu kombinacji awantury podróźniczej z farsą była tą właśnie formą przeżycia, której od fikcji scenicznej oczekuje dusza dziecka; wierzę raczej, że tkwią w niej możliwości odczucia, które w chwili zachwytu dorastają wymiarów istnie tragicznych. Nic łatwiejszego, jak z punktu oceny estetycznej czy wychowawczej wytknąć przeróbce Offmańskiego poniechanie żywiołów bohaterskich, a przeroszt karykatury, ale o ileż trudniej znaleźć ów repertoar dziecięcy, któryby wolny od erotyki dosięgał skali arcydzieła. Zaludnią się sceny niemieckie w noc Bożego Narodzenia rojem kopcuszków i krasnoludków, czerwonych kapturków i śnieżnych rusalek, na francuskich powędruje może Tytil z Mytilą szukać maeterlinckowego „ptaka błękitnego“, by śmierć znaleźć u końca podróży; ale i wówczas, cokolwiek głosów ludzkich dobiedzie z żywiołów ów dyament czarodziejski, będą to ledwo te same słowa o szczęściu niedościgłym czy walce złego z dobrem, które bez czezej symboliki czyli olbrzymich kosztów wystawy potrafi prosto powiedzieć królowna-lilijka Koncewskiego.

Wyobraźnia dziecka, wolna od znieprawień mody, odwraca się rychło od bezkrwistych allegoryi; zostawia je pełnoletnim snobom literackim, ekscytującym się nadal mistyczną paplaniną maeterlinckowskich niemowląt, ślepców i staruszek, oswojonych z absolutem. Słuchamy tedy po latach wznowionej „Aglaweny i Selizetty“, gotowi chłonąć z ufnością hypnozę słów, co były kiedyś drogiem przeżyciem młodości; szukamy znowu cudu piękna wewnętrznego, klejnotu ze skarbu pokornych, kiedy w powszednie szczęście Meleandra i Selizetty wkracza z Aglaweną duma uduchowionej piękności, a między nią i Meleandrem dojrzewa świadomość o nieodwołalnej przynależności ich dusz wiedzących. Biedna mała Selizetta czuje, jak w cieniu tego królewskiego piękna marnieje w nic, które się zapomina; postanawia zejść z drogi: wykrada się życiu śmiercią dobrowolną, której tajemnicę zabierze z sobą, w agonii jeszcze kryjąc się za kłamstwo przypadku, byle nie stać cieniem między kochankami. Nie dramat małżeński tu się rozgrywa; chodzi o małą duszę Selizetty, w toku codzienności gaworzącą słowa obojętne, aż ostrym ciosem bólu odcucone skarby jej wnętrza odnajdą klucz, zdawało się już stracony, co otwiera wieżę wzniosłości, a z blanki przechyla ją w objęcia skonu. Jest to turniej szlachetności, w którym zwycięzczyni bierze wieniec zgonu. Wszystko zło indywidualności w pięknie, więc zazdrość i zdradę erotyczną zagłuszyć miała wspólnota dusz, splecionych w kulcie samodoskonalenia; ale inne jest przeznaczenie tych ludzi, okrutne biologiczne prawo ich życia.

Jest to sprawa, która realistycznie traktowana czyni z „Samotnych“ Hauptmanna jedną z najszczerzej ludzkich tragedyi; ale tutaj tonie wszystko bez ratunku w frazeologii panteizmu, cieplarnianej atmosferze wszechdoskonałości, dławionych zwierzeniach i bałamutnie smętnych dialogach. Powstały równocześnie ze znanym szkicem o „tragice codzienności“, gdzie potępiono teatr współczesny, w realistycznej konwencji pospolitych konfliktów trwającej ciągle jakoby u powierzchni życia, gdy już malarstwo wyzbyło się anegdot, rzeźba w ogółach plastycznych chwytła poloty uczucia, a poezja sugeruje nastrój instrumentacją wiersza. Brutalną ciżbę istot poszczutych namiętnościami. mściwych mężów, zdradliwych trucielek i więzionych obywateli dramatu dzisiejszego miała wyprzeć owa niepocieszna zjawia sceny przyszłości: starzec, w fotelu przy nikłym blasku lampy nasłuchujący, co czai się w mileczeniu drzwi i okien, a co w szmerach światła, czujący, jak gospodarują w tej izbie wszystkie siły kosmosu podług praw odwiecznych, jak słońce samo podtrzymuje ponad otchłanią ten stolik, a gwiazdy uczestniczą w każdym ruchu opadającej powieki i rodzącej się myśli. „Dziś wiemy, że nie figura jest to dramatyczna, lecz winieta homeograficznego przedruku „duchowych zaślubin“ Ruysbroeka, a mimo hieratycznych tautologii tej estetyki, od lat dwudziestu odmieniającej przez wszystkie przypadki formułę: royaume intérieur, vie profonde, rapport avec l'infini, zagadka świata nie jest podobno jeszcze rozwiązana. Dziś, gdy miliony rozmawiają tonami ekrazytu i strumieniami trujących gazów, gdy poza frontem narody całe wyczekując i współdziałając mierzą się w okrutnej próbie siły, gdy w chwili takiej coraz jaśniej utrwała się świadomość ludzkiej odpowiedzialności, pewnik o autonomii woli, przyczynowem ząębaniu się czynów w splocie rzeczywistości i o pracy, jako jedynym dostępnym człowiekowi zetknięciu się z nieskończonością, dziś bezwolny, dziecięcą beznadą, a mimo królewskich dekoracji żebraczy stukot w wrata misterium, newrozają lęku porażony bełkot somnabuliczny brzmi jak daleka, prawie niezrozumiała, skłamaną obietnica naszej młodości. A dopieroż, kiedy wspomnieć, że ten nazareńczyk, pszczelarz, cyklista

i bokser w jednej osobie stoi teraz w szeregu ideowych podpalaczy świata, że z panteistycznego miłośnika wszystkiego, co oddycha, zdążył się zmienić w derwisza pijanego jadem nienawiści, z flamandczyka tkwiącego korzeniami romantyzmu w ideologii germańskiej w zelotę błagi, rewanżu i kabotyzmu „de la grrrande nation!”, z apostoła sprawiedliwości w uchodząc wojennego, który z tamtej strony kanału, w idealnej zgodzie z purytańską obłudą, z bezpiecznej kryjówki obsyła belgijskie pola chwasty tyteuszowem orędzim, by inni za niego umierali — wówczas jawnym się staje ponad wszelką wątpliwość, że na stosie kłamstw, które podpala żagiew tej wojny, nieubłaganej prawdomówczyńi, płonie i ten rodzaj mistycyzmu, który z przesłania życia historyczno-prawnego wymknął się w zakłamaną mitologię estetyzmu, w nieodpowiedzialną sferę absolutnej ufności i nazwał tę dezercję obcowaniem z Tajemnicą.

W poemacie Maeterlincka wystąpił p. Weychert, szczęśliwie odzyskany życiu i scenie; jego Meleander wykazuje jeszcze zmęczenie długomiesięczną udręką: co było w nim zamysleniem, brzmi na razie, jak bezkrwista apatya. Aglawenie dała p. Pylińska głowę i kostyum z portretu Berne-Jones'a, więc charakteryzować próbowała prerafaetycznie; należą do nielicznej zresztą garstki, która szczerym wysiłkom tej artystki towarzyszy z życzliwie wyciekającym współczuciem; niestety pomysł literacko prawie zawsze świadomy rujnuje ów przydźwięk głosu nieusuwalnie chropawy i maryonetkowa sztywność linii, które przedrzeźniają w retorykę akcent uczuciowy, a z zarysów heroicznym komponują stwór śmiesznie viraginiczny. Selizetta p. Solskiej, jasnowiąsa prządka wymierającej rasy, wyzwała w sposób wzruszająco szczerzy liryczne skarby tego talentu. zgłuszone od lat maestrą konwersacyi i poza ra-

finady. Kunszt ten raz jeszcze rozwinęła artystka w dyskusyi z p. Stanisławskim, misternie flirtującej w sztuce Roberta Bracco dokoła zagadnienia „prawdziwej miłości”, tak oczywiście, jak może ją rozumieć weryzm włoski. więc ten osobliwy rodzaj krzykliwego naturalizmu, który u Mantegazy uczy się psychofizjologii, u Lombrozy socjologii a od lazzaronów i lejtnanta d'Annunzia bierze chryzmat piękna i pomazanie dell'egoismo sacro. Jest to orientacya artystyczna tak właśnie trafna, jak polityczny zynsł rzymskiej dyplomacyi, a przyprowadzona krztyną zdrady, od Macchiavella poczynając cnoty rdzennie włoskiej, daje utwór szczerze narodowy. Pozaatem zadziwia konstrukcyja dyalogu, wypełniająca trzy akty, grane doskonale.

W „Gromiwoi“ debiutowała p. Zahorska; z trudnościami roli, postawionej w podwójnym, bohatersko-groteskowym oświeceniu, radzi sobie z swobodą, zdradzającą rasowy instynkt sceny, i przytomną świadomością środków, które zawdzięcza kierownictwu p. Koneczyńskiego; jego to reżyserya, w scenach masowych zwłaszcza pełna ekspresyi, odmłodziła zespół tej arcykomedyi, która zawsze niechybna w ciosach, ma dzisiaj ponadto osobny posmak aktualności: daje radykalny coprawda, ale niezawodny środek pacyficzny; gdyby fortelu Lyzistraty zażyć chciały panie Izwolska, Grey czy Sazanow, któż wte, czy sposób nie okazałby się skuteczniejszym od ekspedycyi mr. Forda, którego wyprawa więcej pewno przyniesie zysku jego firmie automobilowej, niżeli sprawie wieczystego pokoju. A wówczas pokojową nagrodę Nobla za rok bieżący winienby zabrać odnowiciel Arystofanesa, p. Cięglewicz, którego niegasnącej miłości antyku a władczej sztuce polskiego słowa zawdzięcza scena nasza renesans greckiej komedyi.

Tadeusz Świątek.



Park artyleryj.

Fot. z natury.



200





D № 381254



\*KSIĘGARNIA\*  
ANTYKWARIAT

D № 381254

P. II 540  
1915